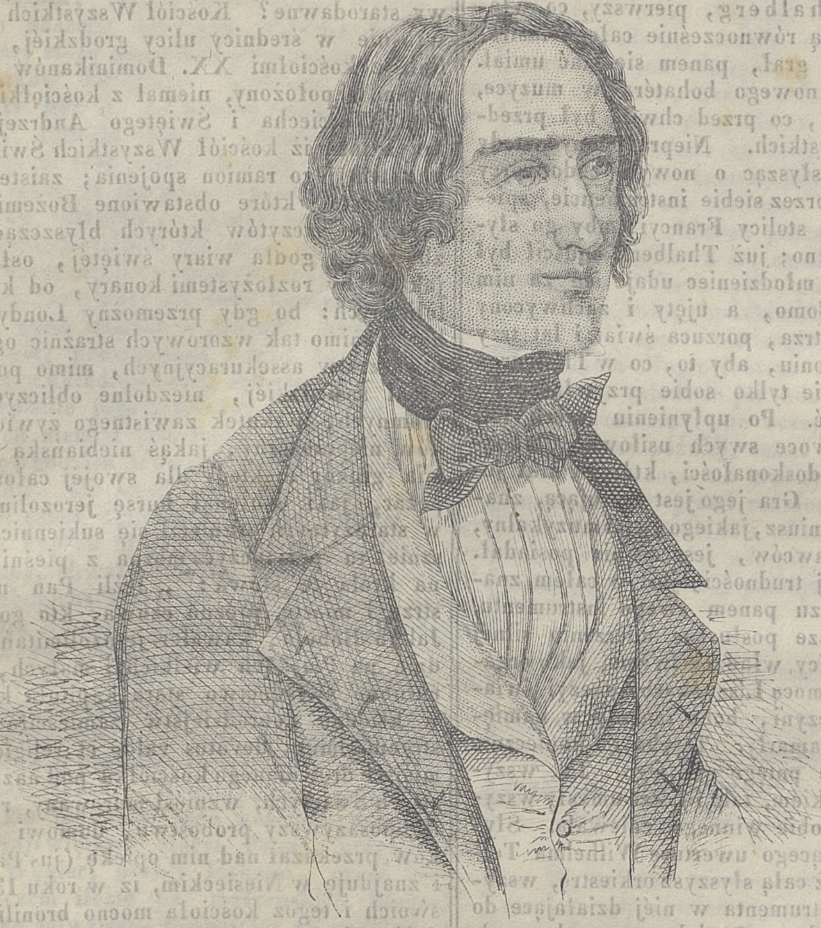
Przyjaciel Ludu.

ROK ÓSMY. No. 50. Leszno, dnia 11. Czerwca 1842.



Franciszek Liszt.

Franciszek Liszt.

Właśnie w tym samym czasie, gdy Moscheles w stolicy mód, nowości i zbytku, pod niebiosa dla gry jego wynoszono, przybył tamże słabego zdrowia chłopczyk, podziwiany tu i ówdzie z przyczyny biegłości w wykonywaniu właściwym sobie sposobem dzieł pierwszych mistrzów na fortepianie. Chłopczykiem tym był Liszt, w ów czas *małym* Lisztem zwany, urodzony w Węgrzech we wsi Râdiny, w r. 1811. W dziecięciu już odkrył ojciec wielki talent do muzyki, w szóstym roku rozpoczął obeznawać go z ulubioną od siebie sztuką, i miał tę pociechę, iż w dziewiątym roku życia grał jego Franciszek w Oedenburgu koncert Riesa w Es-dur i własną fantazyą. Pierwsze to wystąpienie Liszta zjednało mu wielu wielbicieli i mecenasów, mianowicie w hrabi Amaden i Zapary, którzy mu na 6 lat w celu dalszego wykształcenia zapewnili utrzymanie. Ojciec Liszta, opuściwszy posadę swoję, jaką dotychczas miał w domu księcia Esterhazy, przeniósł się do Wiednia i powierzył syna swego Czernemu i Salieremu. Po ośmnastu miesiącach pobytu swego tutaj, dał Liszt koncert, którym zwrócił na nowo na siebie oczy wszystkich, a mianowicie Beethovena. Za radą ostatniego po-

spieszył ojciec z młodym wirtuozem do Paryża, aby go Cherubiniemu polecić; lecz ten niechciał się zająć wykształceniem cudzoziemca. Obrażony dumą tą Liszt, sam z nieprzerwaną pilnością pracować zaczął i wkrótce tak grą swą zasłynął, iż najwięksi znawcy pierwszeństwo mu nad wszystkimi rywalami jego w Paryżu jednozgodnie przyznawali. Wtém zjawił się w téjże stolicy Thalberg, pierwszy, co właściwą sobie metodą równocześnie całego instrumentu, na którym grał, panem się stać umiał. Przy uwielbieniu nowego bohatéra w muzyce, zapomniano o tym, co przed chwilą był przedmiotem czci wszystkich. Nieprzytomny wtedy w Paryżu Liszt, słysząc o nowym cudotwórcy na zamiłowanym przez siebie instrumencie, spieszy z Genewy do stolicy Francyi, aby go słyszeć, lecz na próżno; już Thalberg opuścił był Paryż. Namiętny młodzieniec udaje się za nim do Medyolanu i Como, a ujęty i zachwycony grą wielkiego mistrza, porzuca świat i lat trzy przepędza w ustroniu, aby to, co w Thalberga grze go zajęło, nie tylko sobie przywłaszczyć, ale i wydoskonalić. Po upłynieniu trzech lat, pokazał światu owoce swych usiłowań, stanąwszy na szczycie doskonałości, którego nikt jeszcze nie doszedł. Gra jego jest czarującą, znamionującą wielki jeniusz, jakiego świat muzykalny, podług zdania znawców, jeszcze nie posiadał. Nie zna on żadnéj trudności, jest w całém znaczeniu tego wyrazu panem swego instrumentu, a drgające klawisze posłuszne uderzeniu silnéj ręki, jak niewolnicy władzcy swemu, jako organy, za których pomocą Liszt skarby poezyi światu przystępnymi czyni, boby inaczéj w namiętném jego sercu zamarły. Trzeba go koniecznie słyszeć, aby czuć potęgę gry jego. Jak wszystko, co jest wielkiém, tak i Liszt umysły wszystkich do hołdu sobie winnego zniewala. Słysząc go eksekwującego uwerturę Wilhelma Tella, zdaje ci się, iż całą słyszysz orkiestrę, wszystkie bowiem instrumenta w niéj działające do ucha twego dochodzą. Genialnym sposobem oddaje i wykonywa mistrzowskie twory Mozarta i Beethovena. Będąc im przytomnym, nie wiesz wcale, co masz wprzódy podziwiać, czy wzniosłą kompozycyą, czyli też wykonanie jéj Liszta, wywołującego czarujące dźwięki z posłusznych sobie stron.

Sama postać uwielbianego tego mistrza niepospolite na widza czyni wrażenie. Rysy twarzy szlachetne, oko miłe i żywe, włos płowy spadający na tył głowy, skład ciała męzki; każde poruszenie jego w czasie gry jest obrazem uczuć serca namiętnego. Nadto szlachetny sposób myślenia, niezapominający o braciach potrzebujących pomocy, a poświęcający dla nich summy znaczne, wszystko to tłumaczy nam uniesienie, z jakiém oddawano Lisztowi cześć po stolicach różnych krajów, w których dotąd dał się słyszeć.

*O.

Zburzony kościół pod nazwą: Wszystkich Świętych, w Krakowie.

Nie najlepsza to wróżba, kiedy z miast katolickich łona, znikają kościoły, te odwieczne wiary i zamożności pomniki. Cóż najwięcéj zdobi miasta, uważając one już nie ze stanowiska religii? Cóż tworzy całą ich piękność, jeśli nie wznoszące się ku niebu wieżyce, budowy starodawne? Kościół Wszystkich Świętych właśnie w średnicy ulicy grodzkiéj, w jednéj linii z kościołmi XX. Dominikanów i Franciszkanów położony, niemal z kościołkiem Świętego Wojciecha i Świętego Andrzeja tworzą krzyż tak, iż kościół Wszystkich Świętych był punktem jego ramion spojenia; zaiste szczęśliwe miasto, które obstawione Bożemi przybytki, ze szczytów których błyszczące oznaki zbawcze, godła wiary świętéj, osłaniają je, jak gdyby rozłożystemi konary, od klęsk wielolicznych: bo gdy przemożny Londyn, Hamburg, mimo tak wzorowych strażnic ogniowych, towarzystw assekuracyjnych, mimo pomocniczéj dłoni sąsiedzkiéj, niezdolne obliczyć strat ogromnych, w skutek zawistnego żywiołu; Kraków nieprzezorny, jakąś niebiańską siłą utłumia groźny niekiedy dla swojéj całości i bytu pożar, jaki ochłonął bursę jerozolimską, lub w starożytnych wzniecił się sukiennicach. Słusznie tu przytoczyć można z pieśni Salomona króla te słowa: „Jeźli Pan nie będzie strzegł miasta, próżno czuwa, kto go strzeże.“ Jakób Bobola, kawaler jerozolimitański, dziedzic na Piaskach wielkich i małych, któremu chlubne świadectwo stara kapituła krakowska w księdze dobrodziejstw zamieściła: „Miles strenuissimus, devotus valde et religiosus,“ na miejsce drewnianego kościółka pod nazwą Wszystkich Świętych, wzniósł murowany, roku 1333. A uposażywszy probostwo, domowi Leliwczyków przekazał nad nim opiekę (jus Patronatus), i znajduję w Niesieckim, iż w roku 1391. praw swoich i tegoż kościoła mocno bronili. Wyśledzić trudno, czy równocześnie podniesion był na kolegiatę. Często wszakże daje się czytać o sławnych nauką mężach, którzy jéj składali grono. Proboszcz bywał zawsze jeden z professorów Akademii krakowskiéj. Gorliwi tutejsi Prałaci równie uczeni, należeli najwięcéj do składu akademickiego, bywali cenzorami pism religijnych, pozostawili nie mało w tym kościele bogatych upominków, zapisów, ozdób. Ich staraniem w końcu przeszłego stulecia, upiększona i wyżéj podniesiona wieża, niemałéj ozdoby dodająca miastu, w roku 1702. w skutek wichrów i burzy zrujnowana, na któréj, jak świadczy Pruszcz, był zamieszczony zegar głośny kosztem X. Jakóba, tamecznego zakrystyana. Kapituła kolegiaty Wszystkich Świętych składała się z Proboszcza, Dziekana, Archidyakona, Kustosza, tudzież nie zawsze z jednakowéj liczby Kanoników, których ozdobą kościelną był mu-

cet fioletowego koloru, noszony na rokietach. Wikaryusze instytuowani, bywali ludzie pobożni i zasłużeni, różnemi upominki, jakie kościołowi pozostawili, pamiętni. Prokurator kolegium Wikaryuszów czuwał nad ich funduszami. Zakrystyana i sekretarza mianowała kapituła tutejsza. Pozostała dotąd jeszcze obok byłego kościoła, szkoła parafialna, zakład sławnego naszego dziejopisa Macieja Miechowity, który może pierwiastkowo należał do liczby Kanoników kolegiaty. Ostatnim Proboszczem kapituły był ś. p. uczony Xiądz Felix Jaroński, filozofii doktor i publiczny professor, którego w tych kilku słowach w piśmie obecném, może ja pierwszy wspomnę. Mąż znakomitych talentów, niemal młot na ówczesne nieprzyjacielskie dla wiary i kościoła towarzystwo, szczęśliwy mówca, pamięci nieograniczonéj, wzywany do rady konsystorza biskupiego, autor dziełka o filozofii, poważany powszechnie; podstępnemi jednak kroki niecnych cofnięty z katedry swojéj, splątany w rozrzucone na zstępienie jego talentów i wziętości siatki, z których niemiał tyle mocy, ile człowiek, wyrwać się, godzien lepszych losów, zamarł wśród kmiotków. Do tutejszych Kanoników liczby ostatnimi czasy istnienia kolegiaty, należał świątobliwy kapłan Marcin Bachowski, kustosz, dobroczynny, chwały Boskiéj krzewiciel, gorliwy ojciec ubogich, który nie zostawił grosza nawet na swoją trumnę, po zgonie od ubogich długo opłakiwany, jest najszczytniejszem dla cnót jego świadectwem. Kazalnica kolegiacka należała od niepamiętnych czasów do kaznodziejskiego zakonu; pominąwszy wielu, uczeni X. Mateusz Kozłowski, późniéj professor uniwersytetu, i X. Gwalbert Leszczyński, Dominikanie, tutaj kazywali. Do piękności tego kościoła należał obraz Najświętszéj Maryi Panny, przywieziony z Węgier, głośny łaskami, przed którego obliczem ileżto par małżeńskich błogosławieństwo powzięło, niemowląt do godności synów Boskich podniesiono, ile się kolan przed Matką Dziewicą uchyliło, westchnień w smutkach do niéj przedarło!! Ten w kościele Ś. Piotra obecnie w kaplicy umieszczono. Nic wieczno-trwałego na ziemi! Kilka rysów na świątyni postrzeżono murach, od strony ulicy grodzkiéj, gdzie na szkarpie środkowéj istniał obraz Zbawiciela Pana, w miłosiernéj postawie, przed którym ubogie przekupnie palili w wieczór lampy, a nie jednemu z przechodniów migające światło myśl nastręczyło pobożną, że mimowolnie na Zbawcę zwraca spojrzenie. Rząd przeniósł nabożeństwo z parafią do kościoła świętego Piotra, który długo po ustąpieniu Jezuitów stał bez opieki. Nie było, ktoby zawołał na mieszkańców o składkę, a jeszcze do tak szlachetnych serc obywatelów Krakowa, co na wyścigi mogli byli zgromadzić ofiary znakomite. Czyje w tém niedbalstwo, odgadnąć łatwo. Kilkanaście lat zamknięty, czekał dobroczynnéj ręki, a dojźrzewając w zniszczeniu dzieło sławnego Boboli, do śladu rozburzono, wedle zasady naszego wieku. A jako po umarłych spuściznę roznosi kto może, tak po zagładzie tego przybytku, jego ozdoby na wszystkie pierzchnęły wiatry. Piękne ich harmoniczne dzwony, co głosiły równie smutne i wesołe epoki, rozbiegły jak odchowane dziatki z domu ubogich rodziców, każde w inną stronę szukać przytyłku. Kazalnica, ołtarz wielki, przebyły Wisłę, i ustawione są w kościele na Podgórzu. Kolegiata rozwiązana, dla czego i przez kogo? powiedzieć nie umiem. Nagrobki tutejszych Kanoników, chlubne przeszłości pamiątki, wydarte, do różnych ku zamieszczeniu przekazane świątyń. Wieża tylko pozostała sierotą aż do obecnego roku, opłakiwała długo, iż się o kościół Boży oprzeć nie mogła, przy nim przetrwaćby zdolna długie jeszcze wieki; myślałbyś, że lat kilka zaledwie jak odnowiona: ale co tylko nie trzyma się i nie uczepia boskiego kościoła, rychło, czy późniéj, runąć koniecznie musi, i to nawet ziszczone na materyalnym gmachu. Rysunek zdięty przed rozbiorem kościoła, zaś obraz fundatora Boboli alfresco, ozdabiał niegdy zakrystyą; tu się wiernie przekopijowane mieszczą, ku wiecznéj pamiątce.

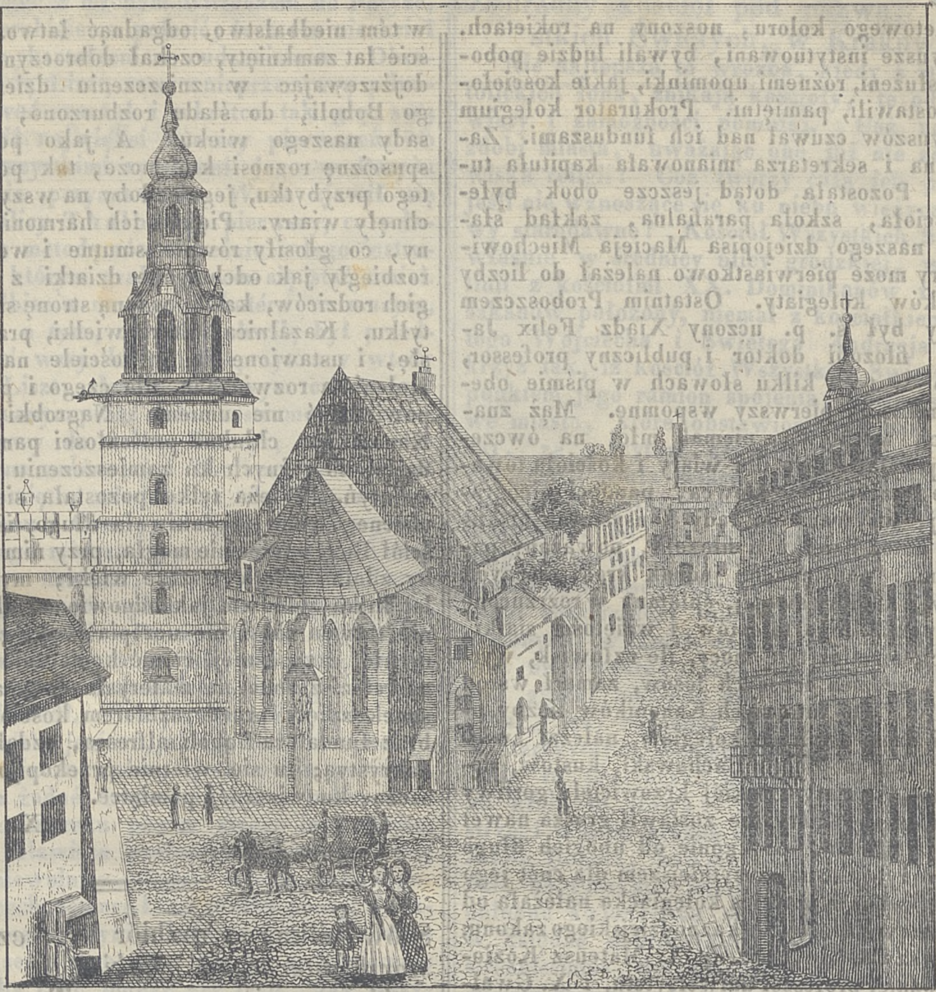
X. P.

Kraków 1842 r.

Słów kilka na rozbiór krytyczny: *Historyi literatury polskiéj M. Wiszniewskiego*, umieszczony w Tygodniku literackim Nr. 12, 13, 14 i 15.

Ne sutor ultra crepidam.

W żadnym oświeconym narodzie literatura nie jest tak sponiewieraną, profanowaną, jak u nas. Nie dosyć na tém, że bardzo mało czytamy i piszemy, trzeba jeszcze, aby, gdy się dzieło jakie ważniejsze zjawi, obsiedli je zaraz niepowołani krytycy, jak nikczemny owad drzewa ślachetniejszy owoc rodzące. Takiego losu między innemi doznała historya literatury polskiéj M. Wiszniewskiego. Ledwie się na świat ukazała, aliści zaraz, prócz kilku kompetentnych krytyków, rzuciło się na nią mnóstwo bazgraczy, nicujących ją i wyszpecających według nieuctwa swego. Między innymi wyjechał téż na harc przeciw temu dziełu w Tygodniku literackim niejaki pan Mosbach. W rocznikach krytyki polskiéj niemasz podobno niedorzeczniejszéj krytyki nad jego. Pan Mosbach nieumiejący dobrze po polsku, z literaturą polską ledwie powierzchownie, jak mówią, z grubego wioru, obeznany, duszą i ciałem narodowi naszemu obcy, odważa się w niepojętéj zarozumiałości przedrzeźniać, wyszpecać

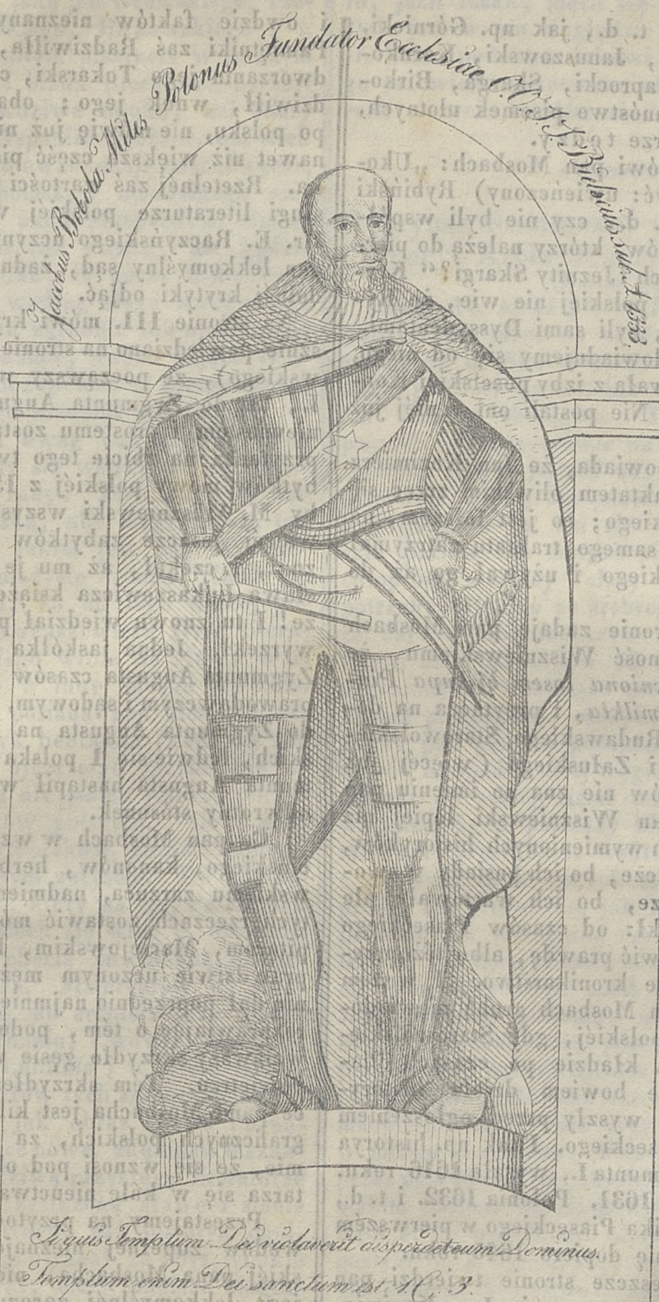


Zburzony kościół Wszystkich Świętych w Krakowie.

dzieło uczonego męża, który, nim się do napisania jego zabrał, siły swoje wpierw dobrze zmierzył i nie rzucił się, jak pan Mosbach robi, z motyką na słońce.

Nie mamy ani czasu, ani ochoty zbijać trop w trop wszystkich bredni pana Mosbacha i milczelibyśmy całkiem, gdyby nam dobro literatury narodowéj nie nakazywało, w kilku przynajmniéj wyrazach wykazać nieuctwo pana Mosbacha w literaturze i rzeczach polskich, a tem samem jego niekompetentność na sędziego dzieł naszych ojczystych. U nas bowiem tak się dzieje dziś, jak się działo przed stu laty. W ówczas najzbawienniejsze ustawy dla kraju, prace sejmowe kilkutygodniowym potem cnotliwych i światłych mężów dokonane, niweczył głos jednego przekupionego łotra, albo warchoła. Dziś kilkunastoletnie mozoły jakiego uczonego, dyskredytuje w publiczności, i tak już nie zbyt skoréj do czytania, sąd lada nieuka, miotanego namiętnością, albo w poniżeniu innych swojéj sławy upatrującego. Z tego, a nie innego względu stawając w obronie tak znakomitego pisarza, jakim jest pan Wiszniewski, wskażemy czytelnikom kilka przynajmniéj miejsc w krytyce pana Mosbacha, z których się jak na dłoni okaże, iż sąd jego o literaturze polskiéj, jestto sąd ślepego o kolorach.

Na stronie 102 Tygodnika mówi pan Mosbach: „Dziwną wiadomość autor nam podaje mówiąc: literatura albowiem polska składa się najwięcéj (tu położył pan Mosbach kilka znaków zapytania) z luźnych, kilkulistkowych, ulotnych pisemek; z niecierpliwością wyglądam



Jakób Bobola, fundator kościoła Wszystkich Świętych w Krakowie.

bliższej wiadomości o téjżeto dotąd podobno nikomu nieznanéj literaturze polskiéj, składającéj się najwięcéj z drobniutkich pisemek, któréj wartości historycznéj nikt nie przewidział. Wiadomo, iż dzieła poetów, historyków, prawników, teologów i innych pisarzy polskich, stanowiące literaturę polską, są po większéj części spore sobie tomy.“ Tu pokazał krytyk najgrubszą nieznajomość literatury polskiéj. M. Wiszniewski, który znał dobrze księgozbiory Czackiego, puławski, warszawskie, krakowski i wiele innych, nie wyrzekł bezzasadnie, że literaturę polską stanowią głównie pisma ulotne rozmaitéj wartości. Na stu takich pisemkach, ledwie znajdziesz jedno dzieło, coby było *sporym sobie* tomem. Najcelniejsi nasi poeci (nie wyłączając J. Kochanowskiego), jakimi byli: Miaskowski, Zbylitowscy, Sęp Szarzyński, Rybińscy, Klonowicz, Twardowscy, Kochanowski i t. d., najznakomitsi historycy, publicyści, prawni-

cy, mówcy kościelni i t. d., jak np. Górnicki, Bielscy, Orzechowski, Januszowski, Karnkowski, Strykowski, Paprocki, Skarga, Birkowski i t. p. wydali mnóstwo pisemek ulotnych, a bylito przecież pisarze tędzy.

Na stronie 103. mówi pan Mosbach: „Ukoronowany (ma znaczyć: uwieńczony) Rybiński Jan, Grochowski i t. d., czy nie byli współcześni tylu Dyssydentów, którzy należą do pierwszych pisarzy polskich i Jezuity Skargi?“ Krytyk historyi literatury polskiéj nie wie, że Rybińscy, jeden i drugi, byli sami Dyssydentami.

Na stronie 108. dowiadujemy się od niego, że Protestantów rugowała z izby poselskiéj Konstytucya 1733 roku. Nie postali oni w niéj już od roku 1718.

Na stronie 109. powiada, że Jan Kazimierz zmuszonym został traktatem oliwskim zrzec się tytułu Króla szwedzkiego; co jest fałszem, na mocy bowiem tegoż samego traktatu zatrzymał tytuł Króla szwedzkiego i używał go aż do śmierci.

Na téj saméj stronie zadaje pan Mosbach dziecinnie niewiadomość Wiszniewskiemu, że powiedział: *Przelękniona losem biskupa Piaseckiego historya zamilkła*, i przytacza na dowód, że niemilczała, Rudawskiego, Starowolskiego, Kochowskiego i Załuskiego (więcéj już z téj epoki historyków nie zna po imieniu pan Mosbach). Zna pan Wiszniewski lepiéj niż pan Mosbach czterech wymienionych historyków, i daleko więcéj jeszcze, bo ich posiada w swoim prywatnym zbiorze, bo ich wartował; ale wiedział, co wyrzekł: od czasów Piaseckiego historya przestała mówić prawdę, albo też przemieniła się w proste kronikarstwo. I w tém miejscu pokazał pan Mosbach grubą niewiadomość w literaturze polskiéj, gdy Starowolskiego, jako historyka kładzie po czasach Piaseckiego: wszystkie bowiem dzieła historyczne Starowolskiego wyszły przed ogłoszeniem drukiem kroniki Piaseckiego. I tak np. historya jego panowania Zygmunta I., wyszła 1616 roku. Sarmatiae bellatores 1631. Polonia 1632. i t. d., gdy tymczasem kronika Piaseckiego w pierwszém wydaniu pokazała się dopiero 1645 roku.

Na téj saméj jeszcze stronie twierdzi pan Mosbach, że historya panowania Jana Kazimierza, wydania Hr. E. Raczyńskiego, jest prostém tłumaczeniem klimakterów Kochowskiego i nie ma żadnéj wartości historycznéj, równie jak i Pamiętniki Albrechta Radziwiłła źle (podług pana Mosbacha) tłumaczone, albo źle wydane. Pan Mosbach jak wszędzie, tak i tu, sądzi o tém, czego nie rozumie. Gdyby umiał tyle po polsku, a wziął był w rękę klimaktery Kochowskiego i porównał z *Historyą panowania* Jana Kazimierza, byłby się przekonał, że to nie jest tłumaczenie, ale przerobienie klimakterów Kochowskiego, z opuszczeniem exklamacyi, apostrofów i t. p., i z dodatkiem tu i owdzie faktów nieznanych Kochowskiemu. Pamiętniki zaś Radziwiłła, tłumaczył częścią dworzanin jego Tokarski, częścią Hieronim Radziwiłł, wnuk jego; obadwaj umieli lepiéj po polsku, nie mówię już niż pan Mosbach, ale nawet niż większa część piszących do Tygodnika. Rzetelnéj zaś wartości tym dziełom i przysługi literaturze polskiéj wydaniem ich przez Hr. E. Raczyńskiego uczynionéj, nie zdoła żaden lekkomyślny sąd, żadna bezczelność nieudolnéj krytyki odjąć.

Na stronie 111. mówi krytyk: „Zatem śmiesznie powiedziano na stronie 6. (dzieła Wiszniewskiego), że począwszy więc od Mieczysława I., aż do Zygmunta Augusta, mowę ojczystą niewiastom i prostemu zostawiono gminowi,“ i przytacza na zbicie tego twierdzenia kilka zabytków mowy polskiéj z 15. wieku. Jak gdyby M. Wiszniewski wszystkich tych i daleko więcéj jeszcze zabytków mowy polskiéj nie znał, i czekał, aż mu je pan Mosbach z Lesława Łukaszewicza książeczki szkólnéj wskaże! I tu znowu wiedział pan Wiszniewski, co wyrzekł. Jedna jaskółka nie przynosi lata: do Zygmunta Augusta czasów język polski nie był prawodawczym i sądowym, nie był liturgicznym: do Zygmunta Augusta na 100 książkach łacińskich, ledwie się 1 polska ukazywała; od Zygmunta Augusta nastąpił w téj mierze zupełnie odwrotny stósunek.

Co pan Mosbach w względzie obrządku łacińskiego, kanonów, herbów i t. p. Wiszniewskiemu zarzuca, nadmienić musimy, że sąd o tych rzeczach zostawić mógł Szafarzykom, Kopitarom, Maciejowskim, Palackim, lub innym prawdziwie uczonym mężom: człowiek, który nie dał poprzednio najmniejszego dowodu nauki, rozprawiając o tém, podobny jest dziecku, co wziąwszy skrzydło gęsie w rękę, chce latać po powietrzu. Tém skrzydłem w całéj téj krytyce pana Mosbacha jest kilka książeczek bibliograficznych polskich, za pomocą których rozumie, że się wznosi pod obłoki, gdy tymczasem tarza się w kale nieuctwa.

Przestajemy na przytoczeniu tych kilku dowodów zupełnéj nieznajomości literatury polskiéj pana Mosbacha, nie mogąc się wydziwić jego lekkomyślnéj zarozumiałości. Człowiek, który nie zna składni języka polskiego, który nie umie rozróżnić słowa dokonanego od niedokonanego, który pisze: „lecz o właściwéj literaturze prawie tam ani mów,“ albo: „iż herby dopiero długo po zaprowadzeniu Chrześciaństwa w Polsce powstały,“ śmie o nieśmiertelném dziele Ossolińskiego takie zdanie dawać: „*Twarda to sztuka*, owe jego wiadomości historyczno-krytyczne, w których o krytykę bardzo trudno: A styl jego jaki szumny, nastrzępiony!“ Gdyby pan Mosbach, który, niewiedzieć czemu to przypisać, nieuctwu czy zarozumiałości, dziełami naszego Ossolińskiego tak pomiata, napisał choć

jednę taką biografią, jaką jest Bzowskiego, Piaseckiego, Warszewickiego, Birkowskiego i t. d., jużby był znakomitym pisarzem w każdym narodzie. Ale biada! biada literaturze naszéj! gdy w niéj ani prawdziwa nauka, ani ofiary na ołtarzu ojczyzny wspaniale złożone, ani wiek na ślęczeniu styrany, niewzbudzają uszanowania, nie mogą odwrócić pocisków nieudolnego nieuctwa! — Ponieważ panu Mosbachowi dzieło Ossolińskiego *twardą* jest *sztuką*, nie będzie przeto dziwić czytelnika, że obraz historyczny miasta Poznania jest według niego *niezgrabnie sklejonym*. Co on pod zgrabnie lub niezgrabnie sklejoném dziełem rozumie, trudno pojąć. W obrazie miasta Poznania zapewne tę *niezgrabność* stanowi w sądzie jego rozdział o Żydach.

Kończąc te kilka uwag nad krytyką pana Mosbacha, nie możemy się wstrzymać od podania mu następującéj rady: Zbyt on mało zna język i literaturę polską, aby mógł dzieła tak znakomitych pisarzy, jakim jest pan Wiszniewski i Ossoliński, należycie ocenić. Niech się więc zrzeknie krytyki, bo do tego więcéj potrzeba niż Lesława Łukaszewicza Rysu literatury polskiéj. Dla niego wrota do sławy w literaturze naszéj stoją w inny sposób otworem. Jako rodem Izraelita posiada pan Mosbach zapewne dokładnie język hebrajski (hańbąby zaś było, gdyby swego ojczystego języka nie umiał). Do téj chwili nie mamy jeszcze porządnéj historyi Izraelitów polskich. Co o nich Czacki i kilku innych Polaków, co Jost napisał, jest tylko próbą, małym zarysem. Do napisania dziejów ludu tego, który na losy Polski tak stanowczo wpłynął, niech się więc p. Mosbach zabierze, gdy taką chęcią chwalebną pisania w polskim języku pała. Materyałów do dzieła takowego dostarczą mu archiwa przy bóżnicach w Krakowie, Poznaniu, Lwowie, Brodach, Wilnie, Warszawie, Lublinie i w wielu innych miejscach. Z materyałów tych *skleiwszy*, choćby i tak *niezgrabnie* jak obraz miasta Poznania, dzieło, zawierające nowe, zkądinąd nieznane fakta, zrobi prawdziwą przysługę literaturze naszéj, zjedna sobie zasłużoną sławę i stanie się Jostem polskim. Gdyby zaś historyą ogólną narodu żydowskiego uważał za zbyt wielkie brzemię na swoje barki, niech napisze biografie sławnych i uczonych rabinów polskich, choćby na wzór owéj *twardéj sztuki* Ossolińskiego, niech nam skreśli dzieje drukarń żydowskich, albo przynajmniéj niech nam da obraz historyczny gminy żydowskiéj na Kazimierzu, albo *Podgórzu*; niech nareszcie Talmud na polski język przełoży; i za to mu wdzięczni będziemy i chętnie policzymy go do użytecznych pisarzy naszych.

Chceli zaś koniecznie o rzeczach polskich pisać i sądzić, niechaj wpierw nauczy się dobrze języka, niech ślęczy i wartuje dzieła starożytne polskie lat kilkanaście, a wtedy dopiero, jeźli łaska, niech się na krytyki zdobywa. Dziś jest w tym względzie lekkomyślnemu, niesfornemu podobien żakowi, udającemu uczonego człowieka przytaczaniem tytułów dzieł, których w życiu swojém nie widział.

J. F.

Dyaryusz dostateczny wjazdu i aktu koronacyi Króla Jegomości Augusta II.

(Dalszy ciąg.)

Dnia 14. szedł pieszo Król J. M. *processionaliter cum clero* na Skałkę; więc od samego zamku aż do Skałki przez Stradom i Kazimierz stały piechoty królewskie wyżéj opisane; było ich dziesięć chorągwi. Także na wszystkich passach arkabuzyerowie na koniach, jako i na wjazd. Potém jechali JJ. MM. wiele ślachty, nierównie więcéj niż podczas zjazdu, bo się byli pozjeżdżali na ten akt do Krakowa. Potém szło paziów 24. bardzo pięknych i dorodnych chłopców, wszyscy Polacy w czerwonéj barwie, potrzeby błękitne ze srebrem szerokie; w takiéjże barwie lubo inakszym krojem 30 lokajów. Potém szło pachołków 60 strojem z węgierska przybranych, w takiéjże czerwonéj barwie, z takiemiż potrzebami. Czapki mieli naksztalt magierek pod piorami podłużnemi białemi i błękitnemi; na spodku strój węgierski, z wierzchu jak tuziuki do saméj ziemi takiéjże barwy (trzeba wiedzieć, że te potrzeby błękitne i srebrem galony były przerabiane według diferencyi sługów, a nie były szyte na sukniach tych koralowych prosto, ale przewiano, jak zęby u piły), co niepodobno jak wdzięczną czyniło apparencyą. Potem śli piechotą JPanowie senatorowie. Za nimi JPan Marszałek niósł laskę; za nim Król J. M., wszyscy piechotą; około niego szwajcarowie z alabardami; potém kawalerya straży przybocznéj wzwyż opisana na koniach. Za nią postępowała królewska karosa, ośmiu końmi ciemnopleśnistemi. Tam tedy na samym wstępie w miasto Kazimierz, Panowie Rajcy tameczni przez usta JPana Groszkiewicza, burmistrza, przy niskim ukłonie oddali powitanie. A gdy potém Król J. M. nadchodził blisko kościoła OO. Augustyanów ś. Katarzyny, zaśli mu drogę Wielebni tamtego konwentu zakonnicy, którym przodując Przewielebny O. Przeor, godną powitał Króla J. M. przemową, na którą J. W. J. M. P. Podkanclerzy koronny *ex tempore* imieniem Króla J. M. odpowiedział. Postępując tedy daléj ku skałecznemu kościołowi Król J. M. *obvios* zastał tamecznych Ojców *S. Pauli Primi eremitae* przy prezencyi Przewielebnego O. Prowincyała, który *oratorio sermone* Pana *condigne* powitawszy, odpowiedź *ibidem* od J. W. J. M. Pana Podkanclerzego koronnego *adequate* odebrał. A jak skoro zwykłe ceremonie przy nieszpornem nabożeństwie Król J. M. zakończył, z tąż assystencyą i takimże porządkiem wsiadł-

szy w karosę, nazad do zamku powrócił. Coby zaś za magnificencya i apparencya była łuk tryumfalny przed kościołem skałecznym z dobrze akkomodowanemi inskrypcyami, krótka tego niech tu będzie relacya. Naprzód obraz ś. Michała Archanioła *elevato loco* akkomodowany, pod nim zaraz Króla J. M. zawieszony konterfekt. *Mediante inscriptione apposita* w te słowa: *Protegam eum, quoniam cognovit Nomen meum.* Po prawéj stronie dano obraz ś. Stanisława z napisem: *Aurea Sarmaticis redeunt jam saecula regnis.* Po lewéj stronie był obraz ś. Pawła Eremity z tym applauzem: *Surgit in Augusto pietas rediviva secundo.* A na pobocznych kolumnach zawieszono *insignia regia.* Na jednéj kolumnie napis: *In Fulcrum Pacis.* Na drugiéj: *In Fulcrum Libertatis*, wyrażono.

Dnia 15. W niedzielę w kościele katedralnym krakowskim, w małym chórze, przed wielkim ołtarzem wystawiony był tron w ośm grani podłużny, do którego było sześć gradusów od wielkiego ołtarza, obity suknem czerwoném; nad nim baldachin, krzesło na tronie (to, którego jeszcze książęciem bywszy zażywał) czerwone aksamitne w siedzeniu, poręcz srebrną blachą obita, w tyle krzesła blacha srebrna wielka z herbami na wierzchu. Przed tronem stali Panowie Namiestnikowie Ich Mość Panów Chorążych; po prawéj ręce chorągiew czerwona z znakiem koronnym, to jest orłem białym, w pośrodku niego herb królewski. Po lewéj ręce chorągiew błękitna z znakiem w. k. litewskiego, to jest, Pogonią. Przy tronie był także J. M. P. Miecznik z gołym mieczem. Przy wielkim ołtarzu stało czterech Biskupów pontificaliter ubranych, to jest, JMX. Biskup krakowski, JMX. Biskup przemyślski, JMX. Biskup żmudzki i JMX. Sufragan warmiński. Przyszedł potém JMX. Biskup kujawski *in ornatu pontificali*, któremu assystowali 4 JMXX. kanonicy, to jest, JMX. dziekan krakowski Cinski, JMX. archidyakon krakowski Opacki, JMX. Łubieński, JMX. Ruszkowski; dwaj insi *in dalmaticis.* Zasiadłszy przed wielkim ołtarzem, wysłał dwóch Biskupów, JMX. kanclerza i JMX. żmudzkiego, którzy *accesserunt obviam* Królowi JM. za mały chór, aniželi się wrócili przynieśli *insignia regia* na białych poduszkach; naprzód jabłko niósł JMP. generał wielkopolski Leszczyński, berło niósł JMP. hetman polny litewski Słuszka, koronę niósł JMP. Wojewoda krakowski. Korona jest czapeczka aksamitna czerwona, na krzyż z wierzchu opasana złotą blaszką, a w koło jest korona poprostu w ząbki robiona ze złota bez żadnych kanaków. Wszedł tedy Król JM. ubrany po książęcu, spodem *cataefractus*, na wierzchu toga fiałkowa w kwiaty i mucet gronostajowy, kapelusz pod białemi piórami strusiemi, przed którym wiele państwa stało. JM. Pan marszałek nadworny niósł laskę, Jch M. XX. Biskupi *ex utroque latere* prowadzili go i przystąpiwszy przed ołtarz zaraz genuflexus kapelusz zdjąwszy, padł krzyżem na ziemię, gdzie było czerwonym aksamitem wysłano. JMX. kujawski czytał benedykcyą nad nim. Po skończonéj benedykcyi pierwszéj klęczący przed X. kujawskim Król J. M., obok mający dwóch Biskupów *praestitit juramentum*, po którem dalsze nad nim czytał *consecrans* benedykcye. Zatem Król J. M. *recessit a gradibus altaris* w zad i przed ołtarzem klęknął; *consecrans* zaś na samych gradusach, i zaczęto litanią o wszystkich Świętych *populo respondente:* módl się za nami. Po skończonéj litanii JMX. kujawski stanąwszy na gradusie ołtarza z obróconą do ludu twarzą i Króla J. M., sam śpiewał: *ut hunc Electum tuum benedicere et consecrare digneris*, i sam go przeżegnał po dwakroć *populo respondente: te rogamus.* Potém JX. kujawski zmówił kollektę i siadł na stołeczku. Przystąpił potém JMX. przemyślski, kanclerz koronny, pontificaliter ubrany, do Króla J. M. klęczącego i długi czas czytał mu text *ex Pontificali.* To skończywszy, przystąpił Król J. M. i klęknąwszy *ad pedes consecrantis*, podpisał na gradusach *pacta conventa.* Po podpisie przystąpiono *ad unctionem.* Zdjęto mu tedy zbroję, naprzód *in fronte*, potém *inter scapulas a parte dextra*, naostatek *cubitum dextrum unxit* JMX. Biskup kujawski *consecrans* i znowu nad nim benedykcyą czytał. Zaczęła się tedy dopiero Msza ś., a Król J. M. *accedentibus vexilliferis*, którzy go już nieodstępowali nigdy *ad omnem motum ipsius*, wyszedł pobocznemi drzwiami od ołtarza i tam *aperte* w kaplicy zdjąwszy strój książęcy, ubrał się w sandały, albę, dalmatykę i kapę, *alias pluwiał*; ten zaś był biały lamowy, na nim miotane kwiatki złote, szczyt i boki aksamitne cynamonowe jasne z złotemi potrzebami bogatemi. Po epistole wyśli dwaj Biskupi co i przedtem i przyprowadzili go przed wielki ołtarz tak w kapie ubranego i zaraz mu dał *consecrans* w rękę miecz, którym *praevia benedictione* szermował kilka razy; potém przypasał do boku. Tymczasem jego szpadę odebrał JMPan Kasztelan poznański, u któréj główka z jednego dyamentu była, który szacowano dziesięć tysięcy czerwonych złotych. Sama zaś rękojeść tak *accomodate* była sadzona dyamentami, że się z jednego zdała bydź dyamentu. Podano potém na poduszce koronę JMX. kujawskiemu, którą włożył na głowę Króla klęczącego; potém mu dał berło do ręki, za każdą razą *certa verba proseferendo et benedicendo.* Tak tedy ukoronowanego prowadził do ołtarza *consecrans* i dwaj Biskupi z nim Króla JM. na tron, i naprzód sam X. kujawski krzyknął: *Vivat rex! Populo acclamante: Vivat rex!* I posadziwszy go na krześle, nad siedzącym czytał benedykcyą. Tę skończywszy, zaczęto: *Te Deum laudamus.* Potém znowu benedykcyą czytał.

(Dokończenie nastąpi.)